

AUTOR BESTSELLERA GWIAZD NASZYCH WINA

JOHN GREEN

PAPIEROWE MIASTA

FILM WYTWÓRNI TWENTIETH CENTURY FOX W KINACH

BUKOWY LAS

John Green, *Papierowe miasta*

(fragment)

Osobiście widzę to tak: każdemu przydarza się jakiś cud. Umówmy się, że prawdopodobnie nigdy nie trafi we mnie piorun, nie zdobędę Nagrody Nobla, nie zostanę dyktatorem niewielkiego państwa na jednej z wysp Pacyfiku, nie zapadnę na nieuleczalny nowotwór ucha ani nie ulegnę spontanicznemu samozapłonowi. Jeśli jednak wziąć po uwagę wszelkie nieprawdopodobne historie, zapewne okaże się, że przynajmniej jedna z nich przytrafia się każdemu. Mogłem zobaczyć deszcz żab. Mogłem postawić nogę na Marsie. Mogłem zostać pożarty przez wieloryba. Mogłem ożenić się z królową Anglii albo przetrwać kilka miesięcy na morzu. Jednak mój cud był inny. Moim cudem było to, że spośród wszystkich domów na wszystkich osiedlach mieszkaniowych w całym stanie Floryda zamieszkałem w domu w sąsiedztwie Margo.

Moi rodzice i rodzice Margo wprowadzili się do sąsiadujących ze sobą domów tuż po tym, jak postawiono pierwsze budynki. Margo i ja mieliśmy wtedy po dwa lata. Nasi rodzice się przyjaźnili, więc czasami bawiliśmy się razem i wyjeżdżaliśmy na rowerach poza ślepe uliczki aż do samego Parku Jeffersona. Za każdym razem, kiedy słyszałem, że za chwilę ma przyjść Margo, stawałem się jednym wielkim kłębkim nerwów, ponieważ była to najbardziej niesamowita i zachwycająca istota, jaką stworzył Bóg.

Był gorący, parny marcowy dzień. Niebo było bezchmurne, ale powietrze miało cierpki smak, jakby zbierało się na burzę. Byłem w tym parku już tyle razy, że w pamięci miałem wyrytą jego mapę, wystarczyło więc zaledwie kilka kroków, abym poczuł, że porządek owego świata został zaburzony, chociaż nie od razu potrafiłem stwierdzić, co się zmieniło.

- Quentin - cichym, spokojnym głosem odezwała się Margo.

Wskazywała na coś. Dopiero wtedy zorientowałem się, gdzie zaszła zmiana. Kilka metrów przed nami rósł dąb. Gruby, sękaty i wyglądający na wiekowy - to nie było nowe. Po naszej prawej stronie znajdował się plac zabaw - i to też nic nowego. Lecz oto o pień dębu bezwładnie opierał się ubrany w szary garnitur mężczyzna. Nie ruszał się. Oto co było nowe. Otaczał go krąg krwi, której na wpół zaschnięty strumień wypływał mu z ust. Usta zaś miał otwarte w nienaturalny dla ust sposób. Jego blade czoło obsiadły muchy.

- Nie żyje - oznajmiła Margo, jakbym sam nie potrafił tego stwierdzić.

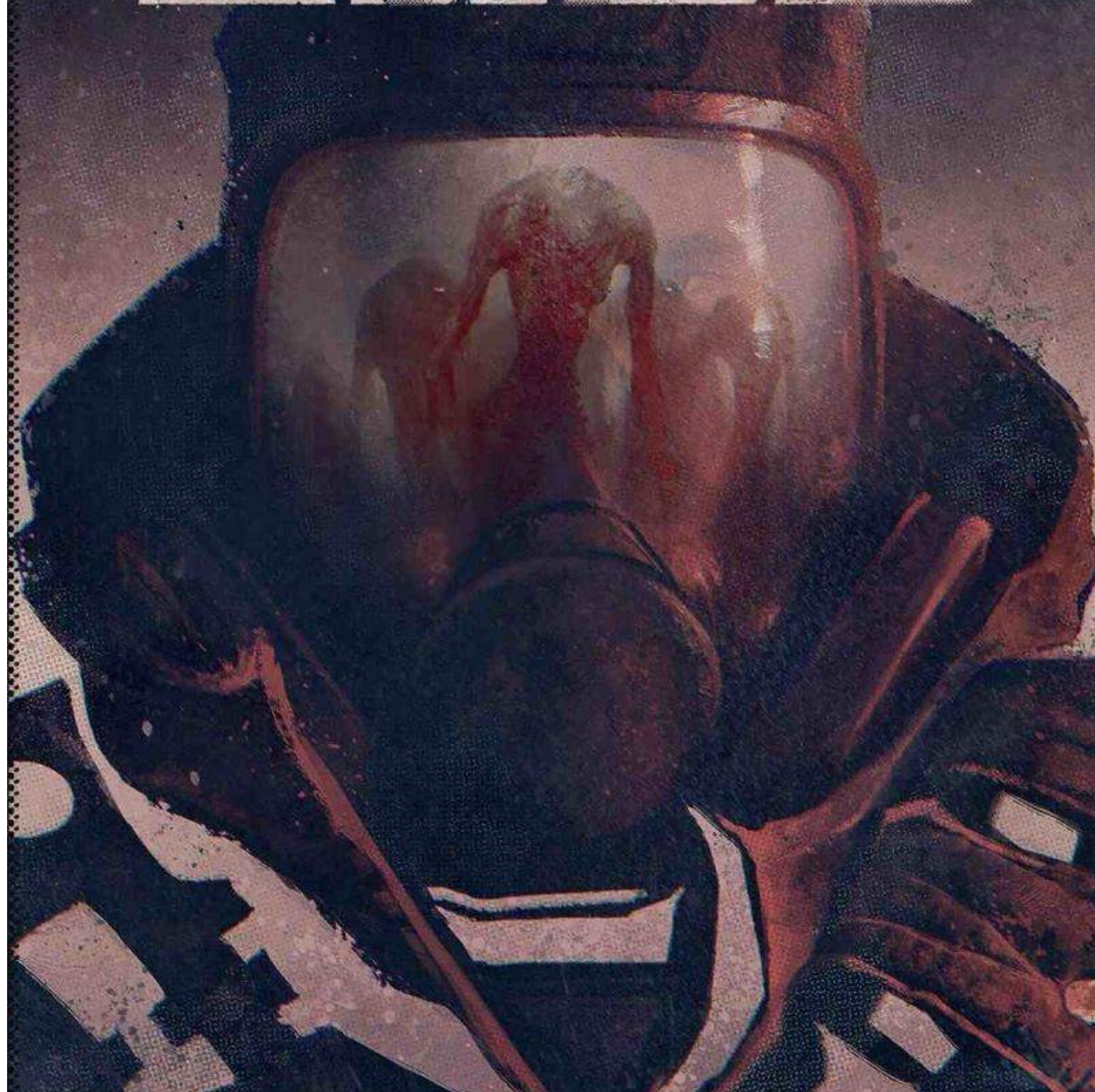
Zrobiłem dwa małe kroki w tył. Pamiętam, iż wydawało mi się wtedy, że jeśli wykonam jakiś nagły ruch, mężczyzna może się ocknąć i rzucić na mnie. To mógł być

zombie. Podczas gdy ja robiłem dwa kroki w tył, Margo zrobiła dwa równie małe i bezgłośnie kroki w przód. Była teraz na tyle blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć stopy mężczyzny. Zebrałem się na odwagę, zbliżyłem do Margo i złapałem ją za rękę. Puściliśmy się biegiem w stronę naszych rowerów i poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła, zupełnie jakby działo się coś ekscytującego, mimo iż wcale tak nie było. Wsiedliśmy na rowery i puściłem Margo przodem, ponieważ płakałem, a nie chciałem, żeby to zobaczyła. Na podeszwach jej fioletowych tenisówek ujrzałem krew. Jego krew. Krew martwego faceta.

DMITRY GLUKHOVSKY

METRO

2033



Dmitry Glukhovsky, *Metro 2033*

(fragment)

Artem był już po dwudziestce, przyszedł na świat jeszcze tam, na górze, i nie był tak chudy i blady, jak wszyscy urodzeni w metrze, którzy nigdy nie ośmielają się pokazać na powierzchni, bojąc się nie tylko promieniowania, ale też palących, zgubnych dla podziemnego życia promieni słonecznych. Fakt - Artem sam w świadomym życiu był tam tylko raz, i to tylko na moment - poziom promieniowania był tak wysoki, że zbyt ciekawscy zaczynali się smażyć po kilku godzinach, nie mogąc się do woli nachodzić i napatrzyć na niezwykle świat na powierzchni.

Ojca nie pamiętał wcale. Matka była z nim do czasu, aż skończył pięć lat - mieszkali na stacji Timirjazewskiej. Było im dobrze i życie płynęło jednostajnie i spokojnie, aż Timirjazewska padła pod naporem szczurów.

Olbrzymie, szare, mokre szczury, bez żadnego uprzedzenia, wysypały się z jednego z ciemnych bocznych tuneli. Niezauważona odnoga skręcała w bok i w dół od głównego północnego toru i schodziła na dużą głębokość, by zagubić się w skomplikowanej płataninie setek korytarzy, w labiryncie pełnym strachu, lodowatego zimna i wstrętnego smrodu. Tunel ten prowadził do królestwa szczurów, miejsca, w które nie odważyłby się zapuścić najbardziej szalony poszukiwacz przygód. Nawet zagubiony, nieorientowany w podziemnych planach i przejściach wędrowiec, który zatrzymałby się na jego progu, wyczułby tchnące stamtąd czarne, straszne niebezpieczeństwo i odskoczyłby od ziejącej wyrwy, jak od zadżumionego miasta.

Nikt nie był straszny dla szczurów. Nikt nie schodził do ich włości. Nikt nie ośmielał się przekraczać ich granic.

Ale tym razem przyszły same.

Wielu ludzi zginęło w dniu, w którym gigantyczne szczury, jakich nie widziano nigdy ani na stacji, ani w tunelach, zalały żywym strumieniem wystawione posterunki i stację, grzebiąc pod sobą jej obrońców i ludność, zagłuszając masą swych ciał ich przedśmiertne krzyki. Pożerając na swojej drodze wszystko: martwych i żywych ludzi oraz swoich zabitych pobratymców - ślepo, bezlitośnie, poruszane niepojętą dla człowieka siłą, szczury rwały do przodu, coraz dalej i dalej.

Przeżyło tylko kilka osób. Nie kobiety, nie starcy ani dzieci - nikt z tych, których zwykle w pierwszej kolejności się ratuje - lecz pięciu zdrowych mężczyzn, którzy potrafili wyprzedzić śmiercionośną rzekę. Udało im się ją prześcignąć tylko dlatego, że stali z drezyną

na posterunku w tunelu południowym. Słyszając krzyki ze stacji, jeden z nich pobiegł, żeby zobaczyć co się stało. Kiedy ujrzał ją ze skraju peronu, Timirjazewska już dogorywała. Od razu przy wejściu, widząc pierwsze wylewające się na peron potoki szczurów, zrozumiał co się stało i już miał biec z powrotem, wiedząc, że w niczym broniącym stacji nie pomoże, gdy nagle ktoś złapał go z tyłu za rękę. Obejrzał się; uczepiona jego rękawa kobieta z wykrzywioną strachem twarzą zawołała, próbując przekrzyczeć chór rozpaczliwych jęków:

- Uratuj go, żołnierzu! Zlituj się!

Zobaczył, że kobieta podaje mu dziecięcą rączkę, małą, pulchną dłoń, i schwycił tę dłoń, nie myśląc o tym, że ratuje komuś życie, lecz dlatego, że nazwano go żołnierzem i poproszono o litość. I ciągnąc za sobą to dziecko, a potem w ogóle trzymając je pod pachą, rzucił się na wyścigi z pierwszymi szczurami, na wyścigi ze śmiercią - przed siebie, wzdłuż tunelu, tam, gdzie czekała drezyna i koledzy z posterunku. Już z daleka, ponad pięćdziesiąt metrów od nich, krzyknął, żeby zapalali. Ich drezyna miała silnik, jako jedyna wśród dziesięciu najbliższych stacji, i tylko dlatego mogli wyprzedzić szczury.

Kiedy złani potem dojeżdżali do straży krzycząc o śmierci, której ledwo udało im się umknąć, tamci już pośpiesznie ściągali pokrowiec z jakiegoś potężnego urządzenia. Był to miotacz płomieni zmontowany przez miejscowe złote rączki ze znalezionych części, prymitywny, ale niezwykle silny. Gdy tylko pokazały się pierwsze szeregi szczurów, a z mroku zaczął dobiegać narastający szum i zgrzytanie tysięcy szczurzych łap, strażnicy odpalili miotacz i nie wyłączali go, aż skończyło się paliwo. Huczące, pomarańczowe płomienie wypełniły tunel na długości kilkudziesięciu metrów i paliły, spalały szczury, bez przerwy, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut. Tunel napełnił się ohydą wonią palonego mięsa i dzikim szczurzym wyciem... A za plecami strażników z Sawielowskiej, którzy zostali bohaterami słynnymi na całą linię, zamarła stygnąca drezyna, w każdej chwili gotowa do nowego skoku, a na niej pięciu mężczyzn, uciekinierów ze stacji Timirjazewska i jeszcze jedna osoba - uratowane przez nich dziecko. Chłopiec. Artem.

STEPHEN KING

ZIELONA MILA



Stephen King, *Zielona Miła*

(fragment)

Zdarzyło się to w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, kiedy stanowe więzienie wciąż mieściło się w Cold Mountain. I kiedy było tam oczywiście krzesło elektryczne.

Więźniowie żartowali sobie z niego, tak jak zawsze żartuje się z rzeczy, które nas przerażają, ale przed którymi nie sposób uciec. Nazywali je Starą Iskrówą albo Wielką Wyżymaczką. Dowcipkowali na temat wysokich rachunków za energię i o tym, gdzie dyrektor Moores, który miał chorą żonę, usmaży sobie indyka w Święto Dziękczynienia.

Ci jednak, którzy mieli na nim usiąść, bardzo szybko tracili poczucie humoru. Pracując w Cold Mountain, przewodniczyłem siedemdziesięciu ośmiu egzekucjom (tej jednej liczby jestem całkowicie pewien; zapamiętam ją do grobowej deski) i myślę, że do większości skazańców świadomość tego, co się dzieje, docierała dopiero, gdy przywiązywano im kostki do masywnych dębowych nóg Starej Iskrówki. Uprzytamniali sobie wówczas (w ich oczach widać było rodzaj chłodnej konsternacji), że ich własne nogi zakończyły swoją karierę. Wciąż krążyła w nich krew, a mięśnie zachowały siłę, lecz mimo to były bezużyteczne; nigdy już nie miały stąpać po wiejskiej drodze ani zatańczyć z dziewczyną w trakcie oblewania stodoły. Klienci Starej Iskrówki dowiadawali się o swojej śmierci za pośrednictwem nóg. Gdy wypowiedzieli już niezborne i w większości chaotyczne ostatnie słowa, zakładaliśmy im na głowę czarny jedwabny kaptur. Miał zaoszczędzić skazańcom przykrych przeżyć, zawsze jednak podejrzewałem, że tak naprawdę używa się go ze względu na nas, abyśmy nie widzieli w ich oczach tego strasznego przerażenia, gdy zdawali sobie sprawę, że umrą ze zgiętymi kolanami.

Cele śmierci znajdowały się w Cold Mountain wyłącznie w bloku E, oddalonym nieco od pozostałych czterech i cztery razy od nich mniejszym. Był zbudowany z cegły, nie z desek, i kryty okropnym metalowym dachem, który połyskiwał w letnim słońcu niczym wytrzeszczone oko szaleńca. W środku było sześć cel - trzy po jednej i trzy po drugiej stronie szerokiego korytarza - wszystkie prawie dwa razy większe od cel w innych blokach. I wszystkie pojedyncze.

Szeroki korytarz wyłożony był linoleum koloru przejrzałych limon i dlatego to, co w innych więzieniach zwie się Ostatnią Miłą, my w Cold Mountain nazywaliśmy Miłą Zieloną. Nasza miała od początku do końca około sześćdziesięciu długich kroków i biegła z południa

na północ. Na początku znajdowała się izolotka. Na końcu można było skręcić w lewo lub w prawo.

Lewa strona była stroną życia. Przechowywano tam łopaty i kilofy (umieszczone w specjalnych stojakach i zabezpieczone łańcuchami, niczym karabiny), a także odzież i materiały, worki z nasionami roślin, które sialiśmy na wiosnę w ogródkach, rolki papieru toaletowego, palety z półfabrykatami do więziennego warsztatu ślusarskiego... nawet worki z wapnem do wytyczania boiska baseballowego i futbolowego - więźniowie grali na tak zwanym Pastwisku i rozgrywane w jesienne popołudnia mecze były zawsze wielkim wydarzeniem.

Po prawej stronie - śmierć. Stara Iskrówka stała na drewnianym podwyższeniu w południowo-wschodnim rogu szopy; miała masywne dębowe nogi i szerokie dębowe oparcia, które wchłaniały pot przerażonych skazańców w ostatnich minutach ich życia. Na oparciu z tyłu zawieszony był zwykły metalowy hełm, przypominający czapeczkę jakiegoś małego wesołego robota z komiksu o Króliku Rogersie. Podłączony do niego kabel znikał w gazobetonowej ścianie za krzesłem. Z boku stało ocynkowane wiadro. Gdyby ktoś miał ochotę do niego zajrzeć, zobaczyłby w środku gąbkę przyciętą tak, aby dokładnie pasowała do metalowego hełmu. Przed egzekucją zanurzano ją w słonej wodzie, żeby lepiej przewodziła ładunek prądu stałego, który płynął przez kabel, przez gąbkę i przez mózg skazanego.

DZIEWCZĘTA Z AUSCHWITZ

SYLWIA WINNIK

Sylvia Winnik, *Dziewczęta z Auschwitz*

(fragment)

Stałyśmy piątkami na placu. Trwał właśnie jeden z porannych apeli. Każdy z nich wspominam z lękiem, ale ten jeden szczególnie utkwił mi w pamięci. Kiedy na plac wkroczył lekarz Werner Rohde, wśród dziewcząt zapanowała panika. Chaos, który niemal w tej samej chwili musiał zostać opanowany. Pod rygorem kary, a nawet śmierci, podczas apelu nie wolno było nam rozmawiać, ruszać się. W przeciwieństwie do nas lekarz spacerował spokojnie, rozglądał się. Obserwował każdą z osobna. Łatwo było mnie zauważyć, bo byłam wysoka. Miałam sto siedemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu. Nie chciałam rzucać mu się w oczy. Kto wie, dokąd by mnie zabrał? Co by ze mną zrobił? Skuliłam się tak bardzo, jak tylko mogłam, jednak niewiele to dało. Spośród kilkuset dziewcząt wybrał dziesięć. W tym mnie. Czy dziś umrę? – to było chyba najczęstsze pytanie, jakie zadawała sobie każda z nas podczas pobytu w obozie.

Krótkie przejście pomiędzy barakami i już wiem, gdzie jestem – rewir. Czy jestem chora? A może będę? Gdy okazało się, że przyprowadzono nas do obozowego szpitala w charakterze pielęgniarek, przez chwilę poczułam ulgę. Od razu dostałyśmy szczepionkę na tyfus, bo w obozie była to najczęstsza, na równi z czerwonką (z niemieckiego zwaną durchfallem), choroba. To raczej dobrze, myślałam naiwnie. Sądziłam, że pielęgniarki są w szpitalu potrzebne. Więźniowie bardzo chorują, są słabi, doznają urazów. Esesmani natomiast chcą jednej z dwóch rzeczy. Aby więźniowie jak najszybciej wrócili do roboty lub – jeśli są do pracy nieprzydatni – by natychmiast się ich pozbyć. Jeśli chociaż przez chwilę uwierzyłam, że mój los pielęgniarki będzie choć odrobinę lepszy od losów pozostałych więźniarek, byłam w błędzie. Po dwóch tygodniach wystąpiły u mnie – i kolejno u każdej z dziewczyn – typowe objawy tyfusu. Wysoka gorączka, bóle głowy. Przez te kilka dni przebywania w szpitalu patrzyłam na konające kobiety. Obserwując, jak umierały, uznałam, że jeśli miałabym możliwość wyboru, to chciałabym odejść jak one – w majakach wywołanych gorączką. Bo majaki powodują, że przed śmiercią można spotkać mamę, jak prawdziwą, całą i zdrową. Można zobaczyć synka i nie pamiętać, że tuż po selekcji został spalony w piecu. Można zapomnieć, że esesmani odarli cię z godności, rozbierając do naga, goląc głowę, poniewierając w błocie twoje chude ciało pogryzione przez wszy.

Umrę. Tylko czy odejdę nieświadoma i przez to nieco bardziej szczęśliwa? Nie wszystkie z dziesięciu dziewczyn przeżyły ten, jak się dziś okazuje, eksperyment. Czy odeszły w złudnej radości? Tego nie wiem. Wiem jednak, że dla esesmanów ludzkie życie nic

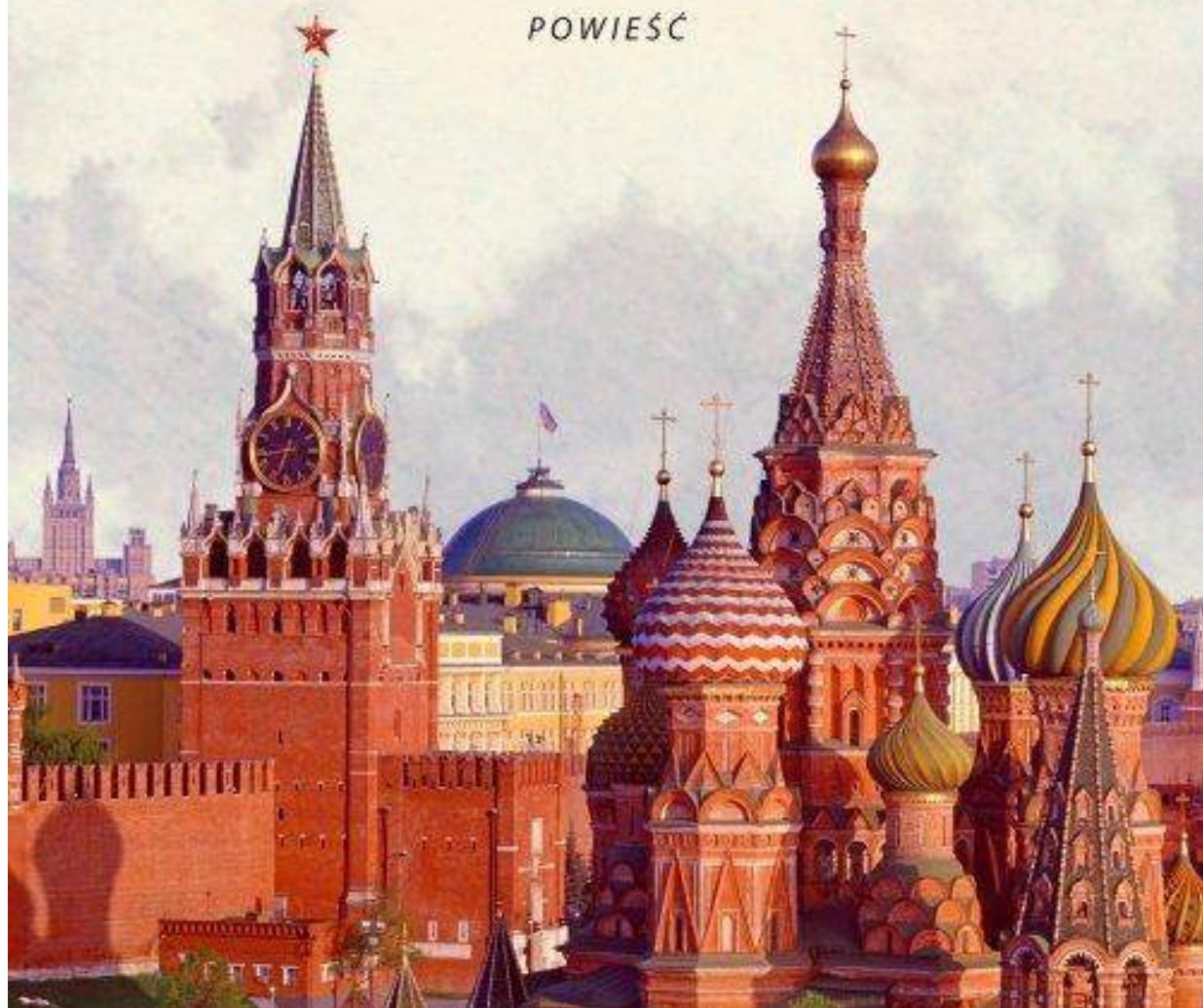
nie znaczyło. Bowiem szczepionki, które nam podali, zaraziły nas tyfusem, a nie, jak sądziłam naiwnie, zabezpieczyły przed zachorowaniem. Aplikowane nam później medykamenty służyły weryfikacji specyfików tworzonych w celu leczenia żołnierzy niemieckich. Te, które dawały zadowalające rezultaty w walce z tyfusem, miały trafić do Wehrmachtu. Stałam się szczerem doświadczalnym.

Edward Rutherford



ROSJA

POWIEŚĆ



Edward Rutherfurd, *Rosja*

(fragment)

Tej nocy na stepie było cicho. W lesie też.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr.

W jednej z sześciu chat przycupniętych nad rzeką spała kobieta z dzieckiem.

Nie przeczuwała niebezpieczeństwa.

Wysoko na rozgwieżdżonym niebie, błyszcząc delikatnie w świetle wędrującego na południe półksiężyca, przesuwwały się w jakiejś leniwej procesji blade obłoki.

Białe i skłębione, niczym jeźdźcy podążały ze wschodu, znad bezkresnych stepów – płynęły majestatycznie nad dachami chat stojących wzdłuż brzegu rzeki, a potem zmierzały ku ciemnym lasom, które też zdawały się nie mieć końca.

Wioska leżała na południowo-wschodnim brzegu. Dęby, lipy, sosny i brzozy rosły tu rzadziej, stopniowo ustępując miejsca polanom i coraz szerszym połaciom łąk stanowiącym granicę stepu. Po drugiej stronie, na brzegu północno-zachodnim, las był gęsty, ciemny i nieprzebyty.

Mijało piąte lato, odkąd osiedliły się tu trzy rodziny. Znalazłszy nad rzeką opuszczone miejsce otoczone starym, porośniętym krzewami wałem ziemnym, przybysze oczyścili je, wzniesli drewnianą palisadę i niski szaniec ziemny, a w środku postawili sześć chat. Nieopodal dwa pola wcinały się nieregularnymi pasami w rzadki las. Jeszcze dalej wyłaniały się chaotyczne plamy karczowisk.

Kilkaset metrów w dół rzeki teren robił się podmokły. Mokradła ciągnęły się jeszcze parę kilometrów dalej.

Ponad ziemią płynął lekki wiatr. Gdy muskał czubki drzew, liście migotały blado w świetle gwiazd. W lesie pobłyskiwały lustro wijącej się rzeki i moczary.

Oprócz szelestu liści słychać było od czasu do czasu jedynie małe zwierzęta albo jelenie przemierzające las. Gdzieś obok mokradła wprawne ucho umiałoby wychwycić na tle monotonnego skrzeczenia żab trzask gałązek pod łapami idącego wzdłuż krawędzi lasu niedźwiedzia. Ale nad wioską unosił się tylko nieregularny szelest, gdy wiatr głaskał długie pole jęczmienia i wzbudzał na nim drżącą falę.

Wiatr poruszał się, a jednocześnie stał w miejscu. Chwilami pole nieruchomiało albo przechylało się w drugą stronę, jakby podmuchy ze wschodu ustawały, by znowu otrzeć się o dojrzałe kłosa.

Był rok 180, choć właściwie ta data jeszcze nie istniała. Dopiero przyszłość miała wprowadzić taką miarę czasu, wówczas kalendarz chrześcijański nie był jeszcze w użyciu. Daleko na południu, w rzymskiej prowincji Judea, uczeni żydowscy rabini twierdzili, że jest 3940 Rok Świata. Od zburzenia Jerozolimy upłynęło sto dziesięć lat. W innych miejscach potężnego Imperium Rzymskiego był to dwudziesty i ostatni rok panowania Marka Aureliusza oraz pierwszy rok rządów Kommodusa. W Persji obowiązywał 491 rok epoki Seleucydów.

A zatem który to był rok w małej wiosce na skraju lasu? Dla historii żaden. Minęło pięć lat od śmierci poprzedniego starszego wioski. O wielkich systemach określania czasu, znanych w cywilizowanym świecie i utrwalonych w księgach, nikt tu nie słyszał. A gdyby nawet słyszał, nie miałyby znaczenia.

Te ziemie miały w przyszłości nosić nazwę Rosja.

CZARNA SERIA
THRILLER



Anders de la Motte

JESIENNA ZBRODNIA

Anders de la Motte, *Jesienna zbrodnia*
(fragment)

Woda rozpoczynała swą podróż gdzieś w mrocznej głębi zbocza. Wypływała z podziemnego źródła, a ciśnienie wypychało ją w górę. Metr po metrze przedzierała się przez błoto i skały. Zbocze miało ponad dwieście metrów wysokości i bez pomocy ludzkiej ręki woda szybko traciła impet. Na początku dwudziestego wieku, w samym środku zbocza, powstał kamieniołom.

Człowiek chciwie wwiercał się i wżynał coraz głębiej i głębiej, aż pewnego dnia wał odciął wodzie przejście i wskazał jej prostszą drogę ku powierzchni. A woda w podzięce tryskała z taką siłą, że aż trudno było to sobie wyobrazić. Jakies pół roku później wyłączono pompy, pozabierano maszyny i opuszczono kamieniołom.

Z czasem miejsce to uległo zapomnieniu.

Dopiero w latach sześćdziesiątych, kiedy sprzęt do wyrębu lasów potrzebował nowych dróg, odkryto opuszczony kamieniołom. Mimo iż wstęp do niego był właściwie zabroniony, z czasem i tak powstało tam piękne ukryte kąpielisko dla miejscowej młodzieży. Dobre miejsce, by z dala od zawistnych spojrzeń spotkać się i robić, czego dusza zapagnie.

Nikt już dokładnie nie pamiętał, jak głęboki był kamieniołom. Jedni mawiali, że głębokość wody dochodziła do dwudziestu metrów, inni – że do czterdziestu. Jeszcze inni twierdzili nawet, że kamieniołom nie ma dna – jeśli to w ogóle możliwe.

Krążyło wiele plotek na temat tego, co się tam kryło. Wraki samochodów, łupy z rabunków, a nawet szczątki dawno zaginionych osób. Plotki wymykały się spod kontroli i dlatego z każdą nową historią obrastały w coraz bardziej nieprawdopodobne opowieści. Jednak wszyscy byli zgodni co do dwóch rzeczy: że czarna woda była tam tak głęboka, iż nawet najgorętsze lato nie było w stanie jej ogrzać do temperatury wyższej niż dwadzieścia stopni; i że stracił tam życie pewien młody człowiek, który postanowił wspiąć się po ścianie skalnej na najdalej wysunięty uskok i skoczyć do wody.

Aby wyciągnąć ciało z wody, potrzeba było aż czterech strażaków. Brzeg był stromy i pełen ostrych kamieni, które uniemożliwiały znalezienie oparcia dla stóp. Kilka razy któryś z nich potykał się i tracił równowagę. Tak jakby woda stawiała opór i próbowała przytrzymać ciało.

Kiedy się spojrzało z pewnej odległości, ów młody człowiek wyglądał, jakby spał. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, tak spokojnie i pogodnie, jakby miał się zaraz obudzić. Lecz kiedy jego ciało z głuchym odgłosem wylądowało na noszach, całe wrażenie

prysło. Lodowata woda spływała z jego ubrania – i długich blond włosów pokrytych krwią z jego roztrzaskanej głowy – tworząc na noszach różową kałużę, by potem zebrać siły i między odłamkami skał znów powrócić w mroczną głębię.

Woda zawsze szuka najniżej położonego punktu, pomyślał policjant stojący kilka metrów dalej.

Miejsce, czas i datę zapisał od razu po wyjściu z radiowozu.

Pod spodem zostawił miejsce na imiona i nazwiska czworga młodych ludzi, którzy bladzi jak kreda stali przed nim, nie patrząc na nosze, choć wzrok mimowolnie ich tam ciągnął. Policjant dobrze ich znał, wiedział, do której klasy chodzą i czy mieszkają na zboczu, czy w dolinie, w miasteczku, a nawet jak mają na imię ich rodzice i gdzie pracują. Lubił tę robotę, tu na miejscu. Znał wszystkich mieszkańców, czuł z nimi pewną wspólnotę. Jednak tego ranka po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie pracuje gdzie indziej.

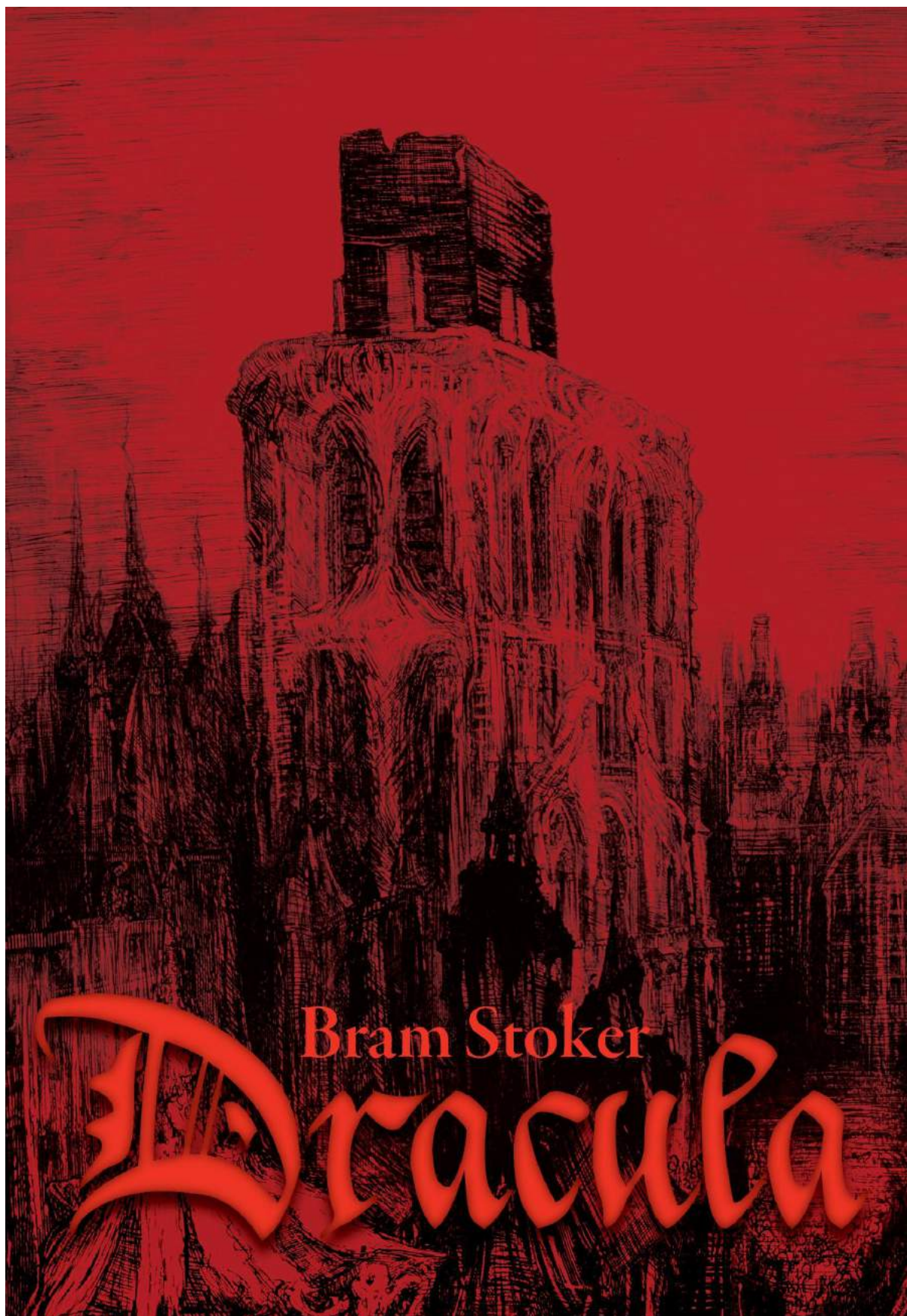
Zapisał imiona i nazwiska, po jednym w każdej linijce.

Wszyscy w wieku dziewiętnastu lat, tak jak ten młody chłopak na noszach. A jeszcze tak niedawno, bo w czerwcu, razem świętowali zdaną maturę. Jeździli na platformie po miasteczku, pili piwo, gwizdali, machali białymi czapkami z daszkiem i wesoło krzyczeli w przyszłość, która na nich czekała.

Choć dobrze wiedział, kim była ofiara, było jednak coś przerażającego w zobaczeniu imienia i nazwiska na piśmie. Simon Vidje. Cudowne dziecko. Jeden na milion. Mógł zawojować świat, zwiedzić fantastyczne miejsca i całe miasteczko zabrać w tę podróż. Tymczasem jego opowieść skończyła się właśnie tutaj, w lodowatej wodzie, w środku niczego, zaledwie kilka kilometrów od jego domu.

– Co się właściwie stało? – zapytał, najdelikatniej jak mógł.

Nikt z całej czwórki nie odpowiedział. Ich spojrzenia przestały walczyć i w końcu skierowały się na nosze, gdzie jasnoczerwona woda wciąż spływała z roztrzaskanej głowy Simona Vidje i kierowała się do najniższego punktu, w czarną głębię.



Bram Stoker, *Dracula*

(fragment)

Hrabia sam podszedł do stołu i zdjął pokrywkę z naczynia. Od razu poczułem zapach wspaniałego pieczonego kurczaka, który wraz z odrobiną sera, sałaty i butelką starego tokaju, z której wypilem zaledwie dwa kieliszki, stanowił moją kolację. Kiedy jadłem, hrabia wypytywał mnie o podróż, a ja stopniowo opowiedziałem mu o wszystkich moich przeżyciach.

Skończyłem posiłek i zgodnie z sugestią mojego gospodarza, przysunąłem krzesło do kominka i zapaliłem cygaro, które mi zaproponował, przepaszając jednocześnie, że sam nie będzie mi towarzyszył. Teraz mogłem mu się wreszcie dokładnie przypatrzeć i przekonałem się, że jest to człowiek o bardzo charakterystycznej fizjonomii.

Jego twarz ma bardzo, bardzo wyraziste, ostre rysy; wydatny i cienki nos zakończony jest charakterystycznymi łukowatymi nozdrzami; ma wysokie i wypukłe czoło, a jego włosy, choć rzadkie w okolicach skroni, są poza tym bardzo gęste. Ma bardzo wydatne brwi, stykające się niemal ze sobą powyżej nasady nosa, a ich nadzwyczajna gęstość powoduje, że zwijają się w loki. Usta - na ile byłem je w stanie dojrzeć pod sumiastymi wąsami - są stale zaciśnięte, co w połączeniu z wystającymi na wargi, bardzo białymi, ostrymi zębami nadaje tej twarzy wyraz okrucieństwa. Uderzająca czerwień warg wskazuje na niesamowitą witalność hrabiego - jak na człowieka w tym wieku. Poza tym ma białe i nadzwyczaj spiczasto zakończone uszy, szeroką i silną szczękę, a policzki mocne, choć wychudłe. Nad tym wszystkim dominuje ogólne wrażenie nadzwyczajnej bladości.

Dotąd widziałem jedynie grzbiety jego dłoni, które spoczywały na kolanach i w świetle płomienia kominka wydawały się raczej białe i delikatne; widząc je teraz z bliska, zauważyłem, że są raczej szorstkie - szerokie, z krótkimi i grubymi palcami. Co najdziwniejsze, jego dłonie owłosione są także od wewnątrz. Ostro zakończone paznokcie są długie i wypielęgnowane. Kiedy w pewnym momencie hrabia pochylił się nade mną i przypadkowo dotknąłem jego dłoni, przeszedł mnie dreszcz. Poczułem też straszne mdłości, co spowodował być może obrzydliwy zapach dochodzący z jego ust. Nie byłem w stanie tego ukryć. Hrabia to zauważył; odsunął się ode mnie i z ponurym uśmiechem, który jeszcze bardziej odsłonił jego wystające zęby, wrócił na swoje miejsce po drugiej stronie kominka. Na chwilę zapadła cisza. Kiedy spojrzałem w okno, ujrzałem pierwszy, ledwo jaśniejący promień nadchodzącego świtu. Wszystko pogrążone było w dziwnym bezruchu, ale kiedy wytrzymałem słuch, usłyszałem - jakby gdzieś daleko w dolinie - wycie wielu wilków.

H.P.
Lovecraft



C&T
ZEW CTHULHU

H.P. Lovecraft, *Zew Cthulhu*

(fragment)

Jeśli podróżnik skręci w niewłaściwy gościniec na rozstaju dróg, napotka samotną i dziwną krainę. Teren się tu wznosi, a kamienne mury obrośnięte dziką różą coraz silniej napierają na krętą, piaszczystą i pożłobioną koleinami drogę. Drzewa w pojawiających się co pewien czas pasmach lasów wydają się za duże, a dzikie krzewy, jeżyny i trawa rosną tak bujnie, że nawet w zamieszkałych regionach nieczęsto się takie spotyka. Pola uprawne, mało zresztą urodzajne, występują tu tylko gdzieniegdzie, a z rzadka rozproszone domy noszą znamiona wieku, nędzy i ruiny. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, ale nikt właściwie nie ma ochoty pytać o drogę wychodzących, samotnych ludzi, których niekiedy można dostrzec na rozpadających się progach domów oraz na spadzistych łąkach usianych kamieniami.

Ludzie ci są tak milczący i tajemniczy, że każdy odnosi wrażenie, jakby natknął się na jakieś zakazane istoty, z którymi lepiej byłoby nie mieć do czynienia. A kiedy wznosząca się coraz wyżej droga doprowadza do miejsca, z którego roztacza się ponad gęstymi lasami widok na wzgórza, narasta uczucie dziwnego niepokoju. Ich wierzchołki są nazbyt okrągłe i symetryczne, aby taki widok mógł się wydać przyjemny i naturalny, a do tego jeszcze co jakiś czas rysują się niezwykle wyraziście na tle nieba wysokie, ustawione w krąg kamienne kolumny wieńczące szczyty tych wzgórz.

Drogę przecinają niezbadanej głębokości wąwozy i parowy, a prymitywne drewniane mosty nie zapewniają poczucia bezpieczeństwa. A kiedy droga opada w dół, pojawiają się całe połacie bagien, na widok których człowiek instynktownie się wzdyga, natomiast wieczorem ogarnia go lęk, gdy zaczyna się rozlegać skrzeczenie niewidocznych lelków kozodojów, a niespotykane chmary robaczków świętojańskich wykonują taniec w rytm ochrypłego, uporczywego i donośnego rechotu żab. Wąska, lśniąca wstęga górnego biegu rzeki przypomina pełzającego węża, kiedy tak wije się u stóp kopulastych wzgórz, spośród których wypływa. Stoki wzgórz zieją czarnym mrokiem, są urwiste i miałoby się ochotę znaleźć od nich jak najdalej, ale nie ma niestety innej drogi, dzięki której można by ich uniknąć. Nie napawa otuchą świadomość, że większość chat jest opustoszała i chyli się do ruiny i że w kościele ze zwaloną wieżą mieści się teraz jedyny niechlujny sklep tej wioski. Przerazenie ogarnia na myśl, że trzeba przejść mroczny jak tunel most, nie da się go jednak ominąć. A po drugiej stronie, na odcinku drogi prowadzącej przez wieś, bucha przykra woń zbutwienia, nagromadzona przez całe stulecia. Z ulgą opuszcza się to miejsce.

Obcy rzadko odwiedzają tę miejscowość, a od pewnego czasu, kiedy to miały tam miejsce straszne wydarzenia, wszystkie kierujące doń drogowskazy zostały usunięte. Sceneria tamtejsza, jeśli oceniać wedle zwykłego kanonu estetycznego, jest wyjątkowo ładna, a jednak nie przyjeżdżają tam turyści w sezonie letnim, nie zaglądają też artyści. Dwieście lat temu, kiedy opowieści o wiedźmach wypijających krew, otaczaniu czcią Szatana i o dziwnych istotach żyjących w lasach nie budziły pobłażliwego uśmiechu, mówiło się jawnie o przyczynach, dla których należy unikać tych terenów. W wieku, w którym włada rozum, a w którym właśnie żyjemy - koszmar w Dunwich został wyciszony w 1928 roku przez ludzi, którym dobro tego miasta i świata leżało na sercu - wszyscy unikają tych stron, nie wiedząc właściwie dlaczego. Być może znana jest jedna przyczyna, a mianowicie odrażający wygląd nielicznych już mieszkańców tych chylących się do upadku osiedli, jakie dość często spotyka się w zakątkach Nowej Anglii. Stanowią jakby swoją własną rasę z wyraźnie zaznaczającym się umysłowym i fizycznym stygmatem degeneracji, spowodowanej między innymi zawieraniem małżeństw między krewnymi. Przeciętna ich inteligencji jest katastrofalnie niska.

Nawet ci, którzy znają fakty związane z koszmarem, jaki się tutaj wydarzył, nie potrafią powiedzieć, co się działo w Dunwich. Stare legendy wspominają o bezbożnych obrzędach i tajnych zgromadzeniach Indian, podczas których przywoływano zakazane, tajemnicze istoty spośród wielkich, kopulastych wzgórz, powodując jakieś trzaski i grzmoty w głębi ziemi.

Inne podania głoszą o jakimś nieprzyjemnym zapachu unoszącym się w pobliżu kręgu kamiennych kolumn i o nagłych, sowizdrzalskich odgłosach słyszalnych niezbyt wyraźnie w pewnych godzinach, a dobywających się z określonych miejsc na dnie wielkich wąwozów; a jeszcze inne podania ludowe wspominają o Diabelskim Uskoku - jest to ponure, przeklęte zbocze góry, na którym nie rosną ani drzewa, ani krzewy, ani nawet trawa. Ludzie tutaj panicznie się boją głosów lelków kozodojów, które nasilają się w ciepłe noce. Panuje przekonanie, że te ptaki oczekują na dusze umierających ludzi i że dopasowują rytm swoich pełnych grozy krzyków do ostatnich oddechów cierpiącego. Jeżeli pochwycą ulatującą duszę w momencie opuszczania ciała, natychmiast odlatują trzepocząc skrzydłami wśród demonicznego chichotu; a jeśli nie uda się im pochwycić, stopniowo zapadają w pełną rozczarowania ciszę.

Jan Garavaglia



JAK NIE UMRZEĆ

Radzi patolog sądowy

Jan Garavaglia, *Jak nie umrzeć. Radzi patolog sądowy*
(fragment)

COŚ UTKNĘŁO W TCHAWICY. Wsunęłam do gardła palce w rękawiczce, żeby sprawdzić, co to jest, i wyciągnęłam kawałek gumy do żucia. Może i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że gumę znalazłam w zwłokach kobiety, na których jako studentka pierwszego roku medycyny przeprowadzałam sekcję. Zwłoki to nic innego jak szczątki ludzkie ofiarowane na rzecz uczelni szkolących przyszłych lekarzy, by ci mogli zaznajomić się z owymi szczątkami podczas zajęć z anatomii. Nie traktujemy ich jak zmarłych osób. Nauczyliśmy się myśleć o nich bezosobowo, widzieć w nich struktury i tkanki, a nie ludzi. Celem zajęć z anatomii jest jedynie zapoznanie się z budową ciała, a nie stwierdzenie przyczyn zgonu. Zwłoki niechętnie zdradzają swoje tajemnice. Nie są od tego.

Jednak ta konkretna osoba zeszła z tego świata, gdy żuła gumę. To mnie zaciekawiło. Jak do tego doszło? Skąd pochodziła? W jaki sposób umarła? Wszczęłam niewielkie dochodzenie w sprawie moich zwłok i dowiedziałam się, że należały one do zakonniczki, która zmarła na skutek nagłego zatrzymania krążenia i tak się złożyło, że akurat w tym momencie żuła gumę.

W ten sposób zaczęła się moja fascynacja okolicznościami zgonu.

To chyba odpowiednia chwila, żeby zrobić krótką przerwę i przedstawić się. Jestem lekarzem sądowym, jedynym rodzajem medyka, którego pacjenci nie żyją. „Doktor G.” to przezwisko, jakie nadali mi technicy sekcyjni z Bexar County w Teksasie, gdzie pracowałam przez dziesięć lat. Niektórym trudno było poprawnie wypowiedzieć moje włoskie nazwisko, Garavaglia, ponieważ drugie „g” jest nieme, jak w słowie „lasagne”. Koledzy zaczęli więc zwracać się do mnie „doktor G.” i tak już zostało.

Moi pacjenci, tak samo jak wspomniana litera „g”, są niemi. Nie mogą mi powiedzieć, w jaki sposób umarli, muszę do tego dojść sama. Ich ciała skrywają wiele tajemnic i ciekawych opowieści. Czasami wskazówek jest niewiele i trudno o jednoznaczną odpowiedź, zazwyczaj jednak udaje mi się na podstawie historii zapisanej w narządach ustalić, w jaki sposób dana osoba żyła, jakie wypadki i choroby przeszła oraz dlaczego umarła. Historię tę odczytuję, przeprowadzając autopsję, czyli dokładne badanie ciała, którego wyniki pomagają wyjaśniać zbrodnie, rozstrzygać sprawy sądowe i dostarczać rodzinom ważnych informacji na temat ich najbliższych. Moja praca często przypomina układanie łamigłówek z luźno rozsypanych fragmentów.

Podczas sekcji zwłok robię notatki i zdjęcia, badam każdy narząd wewnętrzny, krojąc go na kawałki i szukając nieprawidłowości. Ktoś kiedyś powiedział mi, że byłabym pomocna przy rozbieraniu mięsa upolowanego jelenia. To prawda, że muszę doskonale znać anatomię ciała ludzkiego, jednak to, co robię w trakcie autopsji, bardziej przypomina pracę detektywa niż rzeźnika: przygotowuję szkiełka mikroskopowe, pobieram próbki płynów do badań toksykologicznych i skupiam się przede wszystkim na odnalezieniu przyczyny zgonu.

SEKCJE ZWŁOK nie przerażają mnie, chociaż, szczerze mówiąc, na swoją wolałabym jeszcze trochę poczekać. Niemniej każdy przypadek czegoś mnie uczy i z biegiem lat zaczęłam się coraz bardziej przekonywać, że do wielu zgonów wcale nie musiało dojść. Owszem, każdy z nas w końcu umrze i nie można temu zapobiec, powinniśmy jednak postarać się nie dotrzeć do kostnicy zbyt wcześnie. Możemy tego dokonać, wykonując najprostsze czynności: zapinając pasy w samochodzie, nieznacznie modyfikując sposób odżywiania czy stosując się do zaleceń lekarza. Jednak to jeszcze nie wszystko, istnieją bowiem równie proste, ale mniej oczywiste zachowania, które mogą uratować nam życie. Kto z nas wie, że otwarcie lub uchYLENIE okna w trakcie jazdy samochodem zwiększa ryzyko odniesienia poważnych obrażeń w wypadku? Od zmarłych można się wiele nauczyć, między innymi tego, jak my, żywi, powinniśmy dbać o siebie. Napisałam tę książkę, ponieważ chcę pokazać, co należy robić, by uniknąć przedwczesnej wyprawy na drugą stronę

WILK ZWANY ROMEO

MARGINESY

NICK JANS

Jedna z najlepszych książek o przyrodzie
wydanych w Polsce w ostatnich latach.

Mikołaj Golachowski



Nick Jans, *Wilk zwany Romeo*
(fragment)

W kilka uderzeń serca znalazł się czterdzieści metrów od nas. Stał sztywno, miał podniesiony wysoko ogon i wlepił w nas nieruchome spojrzenie – postawa dominująca, co wcale nas nie uspokajało. Nagle, wydając krótkie skomlenie, Dakota szarpnęła i oswobodziła się z uchwytu dwóch palców, które zaczepiłem o obrożę, po czym pognęła prosto na wilka. W jej głosie zabrzmiała nuta rozpacz. Sherrie wołała ją raz za razem, ale ona nie reagowała. Zahamowała z poślizgiem i zatrzymała się kilka długości ciała od wilka, wyprężyła się, ogon sterczał jej poziomo. Opadły nam szczęki, bo wilk obniżył ogon na tę samą wysokość. Patrząc na tę dwójkę, po raz pierwszy mogłem dostrzec, jaki ten wilk jest wielki. Dakota, krępa, standardowo umięśniona labradorka, ważyła jakieś dwadzieścia pięć kilogramów. Czarny wilk górował nad nią, musiał ważyć ponad dwa razy więcej. Same jego głowa i szyja miały wielkość jej tułowia. Sześćdziesiąt kilogramów, pomyślałem. Może więcej.

Podszedł do niej na sztywnych łapach, ona też ruszyła. Nawet jeśli słyszała nasze wołania, nie dała tego po sobie poznać. Była skupiona i milcząca – zupełnie inna od tej radosnej labradorki, którą znaliśmy. Wydawała się na wpół zahipnotyzowana. Przyglądali się sobie, jakby każde z nich starało się odgrzebać w pamięci niemal zapomnianą twarz. To była jedna z tych chwil, kiedy czas wstrzymuje oddech. Podniosłem aparat i zrobiłem zdjęcie.

Cichy trzask migawki, zupełnie jakby ktoś pstryknął palcami, uruchomił świat na nowo. Wilk zmienił pozycję. Postawił uszy i zastrzygł nimi, wykonał krótki skok w przód, skłonił się na przednich łapach, a potem odchylił i podniósł łapę. Dakota, krążąc, przysuwała się bliżej, ogon wciąż sterczał jej poziomo. Wlepiali w siebie wzrok. Kiedy ich nosy dzieliło może trzydzieści centymetrów, znów nacisnąłem spust migawki. Dźwięk ponownie złamał zakłęcie. Dakota w końcu usłyszała głos Sherrie i ruszyła w naszym kierunku, odwracając się tyłem, przynajmniej na razie, do tego zewu wolności, który mogła poczuć. Przez długie minuty staliśmy z nią, cicho popiskującą, u boku, i patrzyliśmy w kierunku przystojnego ciemnego nieznajomego, który wpatrywał się w nas i także cicho skamlał. Ciszę przecinał piskliwy lament. Zupełnie zbici z tropu szeptaliśmy do siebie, zastanawiając się, co tak właściwie zobaczyliśmy i co to znaczyło.

Ale zaczynało się ściemniać – musieliśmy iść. Wilk stał i patrzył, jak odchodzimy. Opuścił ogon, a po chwili uniósł pysk ku niebu i zawył przeciągle, jakby cierpiał. W końcu pobiegł na zachód i zniknął między drzewami. Kiedy szliśmy do domu pośród gęstniejących

ciemności zimowego wieczoru, na łuku nieba zamigotały pierwsze gwiazdy. Lodowiec za nami odbijał echem niskie wycie wilka.

Po tym pierwszym bliskim spotkaniu w grudniu 2003 roku ów dziki czarny wilk stał się częścią naszego życia – nie tylko przelotnym kształtem w mroku, ale istotą, którą poznaliśmy na przestrzeni lat równie dobrze jak on nas. Byliśmy sąsiadami, to na pewno. I choć niektórzy mogą z tego drwić, także przyjaciółmi. To historia utkana ze światła i mroku, nadziei i smutku, strachu i miłości, i może z krztyny magii. To opowieść o naszych czasach na tym kurczącym się świecie, ta, którą muszę opowiedzieć – przede wszystkim dla siebie. Późno w nocy wypełnia chwile między uderzeniami serca, budzi mnie. Ubierając ją w słowa, wiem, że ani się od niej nie uwolnię, ani jej nie zrozumie. Chcę po prostu najlepiej jak umiem zgromadzić wszystkie fakty, rozważania i pytania pozostawione bez odpowiedzi. Po wielu latach będę przynajmniej wiedział, że to nie był sen i że kiedyś istniał wilk, na którego mówiliśmy Romeo. Oto jego historia.



KATARZYNA
BONDA

**POLSKIE
MORDERCZYNIE**

Co wyróżnia je spośród innych kobiet?
Skąd wzięła się ich agresja?

Katarzyna Bonda, *Polskie morderczynie*

(fragment)

Pomysł napisania tej książki zrodził się kilka lat temu. Pracowałam wtedy jako sprawozdawca sądowy w jednym z ogólnopolskich dzienników. Przed warszawskim sądem toczyło się właśnie kilka procesów kobiet oskarżonych o zabójstwo. Sprawy były na tyle głośne, że codziennie ukazywały się relacje z rozpraw, media publikowały wizerunki oskarżonych, a po zapadnięciu kilku wyroków skazujących sąd wyraził zgodę na ujawnienie ich nazwisk - miało to być dodatkową karą za uczynione zło. Morderczynie były sławne. Ich zdjęcia i nazwiska ukazywały się obok informacji o życiu gwiazd filmowych.

Patrzyłam na te kobiety zasiadające na ławach oskarżonych, słuchałam ich wyjaśnień, zeznań świadków, rozmawiałam z rodzinami ich ofiar i nie mogłam znaleźć odpowiedzi na pytanie: jak to możliwe, że te kobiety uczestniczyły w tak brutalnych zbrodniach, same zabiły albo wszystko ze szczegółami zaplanowały, a morderstwa wykonywały rękami mężczyzn. Jakie są? Dlaczego? Co wyróżnia je spośród innych kobiet? Skąd wzięła się ich agresja? Media wykreowały ich wizerunek - złych, zdegenerowanych, pozbawionych ludzkich uczuć, bezlitosnych bestii w ludzkiej, często pięknej, skórze. Sądziłam wówczas, że między nimi a resztą kobiet jest wielka bariera.

Wiosną 2006 roku pojechałam na pierwszą rozmowę do grudziądzkiego więzienia, żeby sprawdzić, czy pomysł napisania o zabójczyniach ma jakiś sens. Pierwszą moją rozmówczynią była Monika Szymańska, którą przecież dobrze znałam. Znałam ją przede wszystkim z sali sądowej, kiedy to w białej bluzce siedziała na ławie oskarżonych, ale także z nagłówek gazet, z radia i telewizji. Wiedziałam o niej niemal wszystko, bo dziennikarze nie pozostawili w jej życiu ani jednej nieodkrytej tajemnicy. Wiedziałam, że pochodzi z patologicznej rodziny, wcześniej została matką, piła, kradła, oszukiwała i bywała agresywna. Wiedziałam, że jest niezwykle inteligentna i sąd uznał ją za mózg bandy. Znałam ją z tej złej strony i przyznaję, bałam się tego spotkania. Nie tego, że się na mnie rzuci, jak zasugerowała jedna z moich znajomych, kiedy dowiedziała się, że będąc w ciąży, jadę do zakładu karnego. Ale tego, że nie znajdę w niej refleksji po zbrodni, wyroku i kilku już latach spędzonych w więzieniu. Bałam się, że nie odpowie na nurtujące mnie pytania, bo nie przebiję się przez jej skorupę, a sławna zabójczyni nie będzie chciała się otworzyć, bo potraktuje mnie jak wroga - przedstawiciela mediów, które ją napiętnowały.

Kiedy Monika przyszła do sali, w której miał się odbyć wywiad, nie poznałam jej. Była uśmiechnięta, schludnie ubrana, a nawet wzbudzająca sympatię. W niczym nie

przypominała tej wulgarnej „dresiarzy”, jaką pamiętam ze zdjęć zrobionych w momencie zatrzymania po zabójstwie Tomka. Zaczęłyśmy rozmawiać. I stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Byłam przygotowana na trudności, na walkę psychiczną. Tymczasem Monika kompletnie mnie rozbroiła. O sobie i swoim życiu opowiadała szczerze i otwarcie. Byłam wstrząśnięta - poznałam nie zabójczynię a kobietę. Charyzmatyczną, inteligentną, z poczuciem humoru. W ciągu tych kilku godzin Monika opowiedziała mi zaledwie kawałek swojej historii. I choć prawie udało jej się mnie uwieść, nie zapomniałam, za co została skazana i z kim naprawdę mam do czynienia. Wychodząc z więzienia, wiedziałam, że napisanie tej książki ma sens.

Zaczęłam rozmowy z dyrektorami zakładów karnych dla kobiet. Gdyby nie ich dobra wola, pomoc i zaangażowanie, ta książka nigdy by nie powstała. Zależało mi bowiem nie tylko na tym, by morderczynie zgodziły się udzielić wywiadu, ale żeby się otworzyły, a także wzięły udział w sesjach zdjęciowych. Kolejne bohaterki pojawiały się stopniowo - było to żmudne poszukiwanie i przekonywanie ich do udziału w projekcie. W czasie tych przeszło dwóch lat pracy nad książką z Moniką Szymańską, tak jak z każdą z tych kobiet, spotykałam się jeszcze wielokrotnie. Wszystkie wywiady wymagały oficjalnej zgody władz więziennych.

Zbrodnia podzieliła życie każdej z nich na dwie części. I tak też staram się je pokazać. Nie chcę ich usprawiedliwiać, wybielać, udowadniać, że nie ma w nich zła. Postanowiłam dać prawo wypowiedzi każdej z nich. Wiele z tych kobiet po raz pierwszy udzieliło wywiadu, którego odmawiały dziennikarzom przez długi czas. Mówiły o różnych aspektach życia: miłości, macierzyństwie, pieniądzu, marzeniach, śmierci... Ich zbrodnie zaś poznajemy z rozdziałów, które powstały na podstawie akt sądowych - przeczytałam je wszystkie osobiście i starałam się opisać rzetelnie i bez emocji. Ta książka powstała, by pokazać, że nic nie jest czarno-białe, że w każdym z nas jest agresja, a bariera pomiędzy nami a bohaterkami tej książki, jest płynna. Powtórzę za Philipem Zimbardo: *ludzie są mozaiką dobra i zła, a zło najczęściej czynią zwyczajni ludzie.*

ANDRZEJ
SAPKOWSKI



WIEDŹMIN

OSTATNIE ŻYCZENIE

super**NOWA**

Andrzej Sapkowski, *Ostatnie życzenie*
(fragment)

Klacz tuliła uszy, parskając, rwała podkowami ziemię, nie chciała iść. Geralt nie uspokajał jej Znakiem - zeskoczył z kulbaki, przerzucił wodze przez łeb konia. Na plecach nie miał już swego starego miecza w pochwie z jaszczurczej skóry - jego miejsce zajmowała teraz błyszcząca, piękna broń z krzyżowym jelcem i smukłą, dobrze wyważoną rękojeścią, zakończoną kulistą głowicą z białego metalu.

Tym razem brama nie otwierała się przed nim. Była otwarta, tak jak ją zostawił wyjeżdżając.

Usłyszał śpiew. Nie rozumiał słów, nie mógł nawet zidentyfikować języka, z którego pochodziły. Nie było to potrzebne - wiedźmin znał, czuł i rozumiał samą naturę, istotę tego śpiewu, cichego, przenikliwego, rozlewającego się po żyłach falą mdlącej, obezwładniającej grozy.

Śpiew urwał się gwałtownie i wtedy ją zobaczył.

Przylgnęła do grzbietu delfina w wyschniętej fontannie, obejmując omszały kamień drobnymi rękami, tak białymi, że wydawały się przezroczyste. Spod burzy splątanych czarnych włosów błyszczały wlepione w niego ogromne, szeroko rozwarte oczy koloru antracytów.

Geralt zbliżył się powoli miękkim, elastycznym krokiem, idąc półkolem od strony muru, obok krzewu niebieskich róż. Stworzenie przyklejone do grzbietu delfina obracało za nim małą twarzyczkę o wyrazie nieopisanej tęsknoty, pełną uroku, który sprawiał, że wciąż słyszało się pieśń - choć małe, blade usteczka były zaciśnięte i nie dobywał się z nich najmniejszy nawet dźwięk.

Wiedźmin zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków. Miecz, powolutku dobywany z czarnej emaliowanej pochwy, rozjarzył się i załśnił nad jego głową.

- To srebro - powiedział. - Ta klinga jest srebrna.

Błada twarzyczka nie drgnęła, antracytowe oczy nie zmieniły wyrazu.

- Tak bardzo przypominasz rusałkę - ciągnął spokojnie wiedźmin - że mogłabyś zwieść każdego. Tym bardziej że rzadki z ciebie ptaszek, czarnowłosa. Ale konie nigdy się nie mylą. Rozpoznają takie jak ty instynktownie i bezbłędnie. Kim jesteś? (...)

Kąciki białych usteczek drgnęły i lekko uniosły się (...) Stworzenie nie poruszyło się. (...) Wielkie czarne oczy zwęziły się. (...) Czarna główka kiwnęła leciutko, prawie niedostrzegalnie, a kąciki ust uniosły się jeszcze wyżej. Mała twarzyczka nabrała

upiornego wyrazu. (...) Syk, który się rozległ, mógł pochodzić tylko z bladych, koszmarnie uśmiechniętych ust, choć wiedźmin nie dostrzegł, by się poruszyły. (...) Wiedźmin cofnął się, mocniej ścisnął rękę miecza.

- To znaczy, że jesteś...

Kąciki ust zaczęły unosić się wyżej, coraz wyżej, wargi rozwarły się...

- Bruxa! - krzyknął wiedźmin rzucając się ku fontannie.

Zza bladych warg błysnęły białe kończyste kły. Wampirzyca poderwała się, wygięła grzbiet jak lampart i wrzasnęła.

Fala dźwięku uderzyła w wiedźmina jak taran, pozbawiając oddechu, miażdżąc żebra, przeszywając uszy i mózg cierniami bólu. Lecąc do tyłu, zdążył jeszcze skrzyżować przeguby obu rąk w Znak Heliotropu. Czar w znacznej mierze zamortyzował impet, z jakim wyrznął plecami o mur, ale i tak pociemniało mu w oczach, a reszta powietrza wyrwała się z płuc wraz z jękiem.

Na grzbiecie delfina, w kamiennym kręgu wyschniętej fontanny, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą siedziała filigranowa dziewczyna w białej sukni, rozpląszczał połyskliwe cielsko ogromny czarny nietoperz, rozwierając długą, wąską paszczkę, przepelnioną rzędami igłokształtnej bieli. Błoniaste skrzydła rozwinęły się, załopotały bezgłośnie i stwór runął na wiedźmina jak bełt wystrzelony z kuszy. Geralt, czując w ustach żelazisty posmak krwi, krzyknął zaklęcie, wyrzucając przed siebie dłoń z palcami rozwartymi w Znak Quen. Nietoperz, sycząc, skręcił gwałtownie, chichocząc wzbił się w powietrze i natychmiast spikował pionowo w dół, wprost na kark wiedźmina. Geralt odskoczył w bok, ciął, nie trafiając. Nietoperz płynie, z gracją, kurcząc jedno skrzydło zawrócił, okrążył go i znów zaatakował, rozwierając bezoki, zębaty pysk. Geralt czekał, wyciągając w stronę stwora trzymany oburącz miecz. W ostatniej chwili skoczył - nie w bok, lecz do przodu, tnąc na odlew, aż zawyło powietrze. Nie trafił. Było to tak nieoczekiwane, że wypadł z rytmu, o ułamek sekundy spóźnił się z unikiem. Poczuł, jak szpony bestii rozrywają mu policzek, a aksamitnie wilgotne skrzydło chlaszcze po karku. Zwinął się w miejscu, przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i ciął ostrym zamachem w tył, ponownie chybiając fantastycznie zwrotnego stwora.

Nietoperz zamachał skrzydłami, wzbił się, poszybował w stronę fontanny. W momencie gdy zakrzywione pazury zazgrzytały o kamień cembrowiny, potworny, ośliniony pysk już rozmazywał się, metamorfował, znikał, choć zjawiające się w jego miejscu blade usteczka nadal nie kryły morderczych kłów.

Bruxa zawyła przeszywająco, modulując głos w makabryczny zaśpiew, wytrzeszczyła na wiedźmina przepełnione nienawiścią oczy i wrzasnęła znowu.

Uderzenie fali było tak potężne, że przełamało Znak. W oczach Geralta zawirowały czarne i czerwone kręgi, w skroniach i ciemieniu załomotało. Poprzez ból świdrujący uszy zaczął słyszeć głosy, zawodzenia i jęki, dźwięki fletu i oboju, szum wichru. Skóra na jego twarzy martwiała i ziębła. Upadł na jedno kolano, potrząsnął głową.

Czarny nietoperz bezszelestnie płynął ku niemu, w locie rozwierając zębate szczęki. Geralt, choć oszołomiony falą wrzasku - zareagował instynktownie. Poderwał się z ziemi, błyskawicznie dopasowując tempo ruchów do prędkości lotu potwora wykonał trzy kroki w przód, unik i półobrót, a po nich szybki jak myśl, oburęczny cios. Ostrze nie napotkało oporu. Prawie nie napotkało. Usłyszał wrzask, ale tym razem był to wrzask bólu, wywołanego dotknięciem srebra.

Bruxa, wyjąc, metamorfowała na grzbiecie delfina. Na białej sukni, nieco powyżej lewej piersi, widać było czerwoną plamę pod draśnięciem, nie dłuższym niż mały palec. Wiedźmin zgrzytnął zębami - cięcie, które winno było rozpołować bestię, okazało się zadrapaniem.

- Krzycz, wampirzyco - warknął, ocierając krew z policzka. - Wywrzeszcz się. Strać siły. A wtedy zetnę ci śliczną główkę!

ŚWIATOWY BESTSELLER. WKRÓTCE W KINACH

JAMES DASHNER

WIEŻA LABIRYNTU

PAPIER  WYKSIEŻY

ZNAJDŹ WYJŚCIE ALBO GIN

James Dashner, *Wieża labiryntu*

(fragment)

Powstał, rozpoczynając nowe życie, otoczony przeszywającą ciemnością i stęchłym, zakurzonym powietrzem.

Dźwięk metalu uderzającego o metal; podłoga gwałtownie zadrżała i przewrócił się. Przeczłgał się na czworakach do tyłu, kropelki potu spływały z jego czoła pomimo przejmującego chłodu. Uderzył plecami o zimną, metalową ścianę. Wstał i przesuwiał się wzdłuż niej, dopóki nie dotarł do kąta pomieszczenia. Osunął się na podłogę i przyciągnął nogi do tułowia, mając nadzieję, że jego oczy wkrótce przywykną do ciemności.

Przy kolejnym wstrząsie pomieszczenie szarpnęło w górę, niczym stara winda w szybie kopalnianym.

Dźwięki skrzypiących łańcuchów i mechanicznych kół, przywołujące na myśl starożytną fabrykę stali, rozbrzmiewały dookoła, odbijając się od ścian pustym, brzękliwym świstem. Pozbawiona światła winda kołysała się na boki, wjeżdżając na górę, przyprawiając go o mdłości; zapach spalonego oleju zaatakował jego zmysły, sprawiając, że poczuł się jeszcze gorzej. Zbierało mu się na płacz, jednak jego oczy pozostawały suche; mógł jedynie siedzieć samotnie w ciemności i czekać.

Nazywam się Thomas, pomyślał.

To... to była jedyna rzecz, jaką pamiętał ze swojej przeszłości.

Nie pojmował, jak to mogło być możliwe. Jego umysł funkcjonował bez zarzutu, próbując rozpoznać otoczenie i znaleźć wyjście z tej sytuacji. Fala informacji zalała jego myśli – fakty i obrazy, wspomnienia i szczegóły o świecie, o sposobie, w jaki ten świat funkcjonował. Przywołał obraz śniegu na drzewach, wspomnienie przejażdżki drogą zasypaną liśćmi, hamburgera z frytkami, księżycy rzucającego jasną poświatę na trawiastą łąkę, kąpieli w jeziorze, zgiełku i zamętu miejskiego życia o poranku.

Jednak nadal nie wiedział, skąd pochodził ani w jaki sposób znalazł się w spowitej ciemnością windzie, czy też kim byli jego rodzice. Nie pamiętał nawet swojego nazwiska. Obrazy ludzi przemykały mu przez głowę, jednak nie potrafił ich rozpoznać, twarze zastępowała udręczona plama kolorów. Nie potrafił sobie przypomnieć choćby jednej znanej mu osoby lub przywołać jakiegokolwiek rozmowy.

Wagon windy wciąż się wznosił, kołysząc się na boki. Thomas przyzwyczaił się do nieustannie szczękających łańcuchów, które wciągały go na górę. Upłynęło sporo czasu. Minuty zamieniły się w godziny, chociaż nie mógł być tego pewny, ponieważ każda sekunda

wydawała się wiecznością. Nie. Był przecież sprytniejszy. Jego zmysły podpowiadały mu, że był w ruchu od co najmniej pół godziny.

Co dziwne, poczuł, jak strach go opuścił, zupełnie niczym chmara komarów przegoniona przez wiatr, ustępując miejsca wszechogarniającej go ciekawości. Chciał wiedzieć, gdzie się znajduje i co to wszystko oznaczało.

Wagon, skrzypiąc i wydając dźwięk głuchego uderzenia, szarpnął i zahamował, sprawiając, że Thomas ponownie upadł na twardą podłogę. Zrywając się na nogi, poczuł, że wagon kołysze się coraz wolniej, aż w końcu zatrzymał się zupełnie.

Zapadła złowroga cisza.

Upłynęła minuta. Dwie. Spoglądał w każdym kierunku, jednak zewsząd ogarniała go ciemność. Szedł ponownie po omacku wzdłuż ściany w poszukiwaniu wyjścia. Jednak nie znalazł niczego prócz zimnego metalu. Jęk zawodu rozbrzmiał echem, niczym przenikliwe zawodzenie śmierci. Kiedy zaniknął, powróciła cisza. Krzyknął znowu, wzywając pomocy, uderzając pięściami w ścianę.

I nic.

Thomas wrócił z powrotem do kąta, objął kolana ramionami i zadygotał, a strach powrócił. Poczuł niespokojne drżenie w piersi, jak gdyby jego serce chciało się wyrwać i opuścić ciało.

– *Niech... ktoś... mi... pomoże!* – krzyknął. Każde słowo rozdzierało jego gardło przenikliwym wrzaskiem rozpacz.

Nad jego głową rozległ się głośny brzęk – przestraszony, wciągnął gwałtownie powietrze, spoglądając w górę. Prosta linia światła przeszła sufit, Thomas obserwował, jak się powiększała. Ciężki zgrzytliwy dźwięk ujawnił obecność podwójnych rozsuwanych drzwi, które po chwili stanęły otworem. Po tak długim czasie spędzonym w ciemności, światło raniło jego oczy; odwrócił wzrok, zasłaniając twarz dłońmi.

Usłyszał dźwięki dochodzące z góry – głosy – i strach sparaliżował jego ciało.

– Patrzcie na tego sztamaka!

– Ile może mieć lat?

– Wygląda jak klump w koszulce.

– Sam jesteś klump, smrodasie.

– Stary, ale tam śmierdzi pociskiem!

– Mam nadzieję, że podobała ci się przejażdżka, świeżuchu.

– Stąd nie ma powrotu, koleś.

Thomas poczuł ogarniającą go falę gorąca i paniki. Głosy były jakieś dziwne, rozbrzmiewały echem. Niektóre z nich wydawały mu się zupełnie obce – inne zaś znajome. Spojrzał spod przymrużonych powiek w stronę mówiących osób, starając się przyzwyczaić oczy do światła. Z początku dostrzegł jedynie przemieszczające się cienie, które wkrótce przybrały kształt ludzi nachylających się nad wyrwą w suficie, spoglądających na niego i wskazujących go palcem.

Nagle, zupełnie jak gdyby ktoś wyregulował ostrość jego wzroku, twarze stały się wyraźne. Jego oczom ukazali się chłopcy – niektórzy młodszy, inni starsi. Thomas nie wiedział, czego się spodziewać, jednak ich widok zaskoczył go. Byli nastolatkami. Dzieciakami. Niektóre z jego obaw odpłynęły, jednak nie na tyle daleko, aby uspokoić łomoczące wciąż serce.

Ktoś spuścił linę, na końcu której znajdowała się wielka pętla. Thomas zawahał się, następnie podszedł i wsadził do niej prawą stopę; ścisnął ją mocno, podczas gdy ktoś na górze wciągał go w stronę światła. Zobaczył las dłoni, całe mnóstwo rąk, i te dłonie chwyciły go za ubranie, wciągając na górę. Rzeczywistość zdawała się wirować kłębiącą się mgłą twarzy, kolorów i światła. Burza emocji rozrywała mu wnętrzności; chciał krzyczeć, zbierało mu się na płacz i wymioty. Chóralne głosy ucichły, kiedy wyciągano go z ciemnego kontenera i ktoś do niego przemówił. Wiedział, że nigdy nie zapomni tych słów.

– Miło cię poznać, sztamaku – powiedział chłopak. – Witaj w Strefie.

Frank Herbert

Kroniki Diuny - tom 1

Diuna



Frank Herbert, *Diuna*

(fragment)

- Widzisz to? - zapytała.

Z fałd togi dobyteła zielony metalowy sześcian o boku około piętnastu centymetrów. Odwróciła go i Paul zauważył, że nie ma on jednej ściany, tylko otwór - czarny i dziwnie straszny. Ani odrobina światła nie przenikała owej ziejącej czerni.

- Włóż prawą rękę do pudełka - powiedziała.

Strach przeszył Paula. Zaczął się cofać, ale usłyszał głos starej:

- To tak się słucha matki?

Zajrzał w ptasio bystre źrenice. Powolutku, pod wpływem wewnętrznego nakazu, któremu nie był w stanie się przeciwstawić, włożył dłoń do pudełka. Najpierw poczuł chłód, kiedy czerń zamknęła się na jego dłoni, następnie gładki metal pod palcami i mrowienie, jakby dłoń mu zdrętwiała.

Rysy starej kobiety przybrały drapieżny wyraz. Podniosła prawą rękę znad skrzynki, zatrzymując ją przy szyi Paula. Dostrzegł w niej błysk metalu i począł odwracać się w tym kierunku.

- Nie ruszaj się! - warknęła.

Skoncentrował się ponownie na jej twarzy.

- Trzymam przy twojej szyi gom dżabbar - powiedziała. - Gom dżabbar, czyli wróg ostateczny. To igła z kroplą trucizny na czubku. Aaaach! Nie ruszaj się, bo poczujesz jej działanie.

Paul próbował przełknąć ślinę. Nie mógł odwrócić uwagi od pomarszczonej, starczej twarzy, błyszczących oczu, bladych dziąseł nad srebrzystymi zębami z metalu, połyskującymi przy każdym słowie.

- Syn księcia musi się znać na truciznach - powiedziała. - To znak naszych czasów, he? Piżmin do zatrutowania nam napojów, aumas do zatrutowania nam jedzenia. Trucizny natychmiastowe i powolne, i wszystkie pośrednie między nimi. Oto nie znana ci trucizna: gom dżabbar. Zabija wyłącznie zwierzęta.

Duma przemogła w Paulu strach.

- Ośmielasz się sugerować, że książęcy syn jest zwierzęciem? - zapytał.

- Sugeruję, powiedzmy, że możesz być człowiekiem - powiedziała. - Spokojnie! Ostrzegam, byś nie próbował się wyrywać. Stara jestem, lecz moja ręka zdąży ci wsadzić tę igłę w szyję, nim uciekniesz. Jeśli wyjmiesz rękę z pudełka, umrzesz. To jedyna zasada. Trzymaj rękę w środku, a będziesz żył. Jeśli ją zabierzesz, umrzesz.

Paul zaczerpnął tchu, by uspokoić drżenie.

- Gdy krzyknę, służba dopadnie cię w parę sekund i ty umrzesz.

- Służba nie przejdzie przez drzwi, bo twoja matka stoi za nimi na straży. Możesz mi wierzyć. Ona przeszła tę próbę. Teraz twoja kolej. Czuj się zaszczycony. Nie często stosujemy ją do dzieci płci męskiej.

Pod wpływem ciekawości strach zmniejszył się na tyle, że Paul zdołał nad nim zapanować. W głosie starej kobiety słyszał prawdę, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli matka stoi tam na straży... jeśli to naprawdę próba... Zresztą cokolwiek by to było, wiedział, że wpadł w pułapkę, którą stanowi ta dłoń przy jego szyi: gom dżabbar.

„Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie. A kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja”.

Czując powracający spokój powiedział:

- Kończ z tym, starucho.

- Starucho! - warknęła. - Odwagi nie można ci odmówić. Dobrze, zobaczymy, zadufku. - Nachyliła się nisko, ścisząc głos prawie do szeptu. - Poczujesz ból tej dłoni w pudełku. Ból. Ale cofnij rękę, a dotknie twojej szyi gom dżabbar. Śmierć przyjdzie szybko jak opadnięcie katowskiego topora. Zabierzesz rękę, a gom dżabbar zabierze ciebie jak swego. Rozumiesz?

- Co jest w pudełku?

- Ból.

Poczuł silniejsze mrowienie w dłoni, zacisnął mocno wargi. „Jak coś takiego może być próbą?” - zastanawiał się. Do mrowienia dołączyło się swędzenie.

- Słyszałeś - powiedziała stara - o tym, że zwierzęta odgryzają sobie kończynę, by umknąć z potrzasku? To zwierzęca sztuczka. Człowiek wytrzyma siłą, zniesie ból, uda śmierć, by zabić myśliwego, usuwając zagrożenie dla swego gatunku.

Mrowienie przeszło w ledwo odczuwalne szczypanie.

- Po co to robisz? - spytał.

- By ustalić, czy jesteś człowiekiem. Zamilknij.

Paul zwinął lewą dłoń w pięść, gdy w drugiej nasiliło się pieczenie. Narastało powoli: fala ciepła za falą... fala za falą. Czuł, jak paznokcie wbijają mu się w dłoń wolnej ręki. Próbował rozprostować przypiekane palce, lecz nie mógł nimi poruszyć.

- Pali - wyszeptał.

- Cicho!

Pulsujący ból przenikał do ramienia. Pot wystąpił mu na czoło, każde włókno jego ciała krzyczało wniebogłosy, by zabrał rękę z tej płonącej czeluści...jednak... gom dżabbar. Nie odwracając głowy usiłował obrócić oczy na ową upiorną igłę znieruchomiałą przy jego szyi. Zachłystywał się powietrzem, chciał uspokoić oddech i nie mógł.

Ból!

Cały jego świat zniknął prócz konającej w męczarniach dłoni i starczej twarzy, wpatrzonej w niego z odległości paru centymetrów. Wargi mu tak wyschły, że miał trudności z ich rozdzieleniem.

„Palę się! Palę się!”

Wydawało mu się, że czuje, jak skóra zwija się i czernieje na konającej dłoni, ciało przepala się i odpada, obnażając gołe zwęglone kości.

Stop!

Ból ustał jak za dotknięciem różdżki. Paul był złany potem, prawa ręka mu dygotała.

- Dosyć - wymamrotała stara. - Żadna dziewczynka tyle nie wytrzymała. Chyba pragnęłam twej porażki. - Odchyliła się w tył zabierając gom dżabbar. - Wyciągnij rękę ze skrzynki i spójrz na nią, młody człowieku.

Pokonując bolesne drżenie Paul utkwiał oczy w mrocznej pustce, w której jego dłoń zdawała się przebywać z własnej woli. Wspomnienie bólu paraliżowało wszelki ruch. Rozum mówił mu, że z pudełka wyjmie osmalony kikut.

- No, wyjmuj! - warknęła.

Wyszarpnął dłoń ze skrzynki i zagapił się na nią osłupiały. Nic. Ani śladu po męczarni. Podniósł dłoń, obrócił ją na drugą stronę, poruszył palcami.

- Nerwoból indukcyjny - powiedziała. - Nie mogę okaleczać wszystkich potencjalnych istot ludzkich dokoła. Ale są tacy, co dużo by dali za sekret tej skrzynki.

Ukryła pudełko w fałdach togi.

- Ale ból... - zaczął.

- Ból! - prychnęła wzgardliwie. - Człowiek potrafi zapanować nad każdym nerwem swego ciała.